

# Eugeniusz Kucharski

---

## "Krytyka i krytycy", Manfred Kridl, Warszawa-Kraków-Lublin 1923 : [recenzja]

---

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce  
literatury polskiej 21/1/4, 397-410

---

1924/25

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## V. RECENZJE.

**Manfred Kridl:** *Krytyka i krytycy.* Nakł. Gebethnera i Wolffa. Warszawa — Kraków — Lublin i t. d. 1923, 16<sup>o</sup>, str. II + 238.

Książka Kridla obejmuje szereg studjów i ocen, poświęconych publikacjom historyczno-literackim lub krytycznym ostatnich lat kilkunastu. Wyjąwszy Chlebowskiego, któremu autor poświęcił doskonały szkic syntetyczny, charakteryzujący całokształt pracy tego znakomitego badacza, inni pisarze (Miriam, A. Potocki, Kleiner, Pigoń, Z. L. Zaleski, A. Śliwiński) zostali uwzględnieni raczej przygodnie, z powodu tej lub owej publikacji, bez kuszenia się o charakterystykę lub ocenę całego ich literackiego dorobku. Byłoby jednak omyłką uważać książkę z tego powodu za zwykły przedruk recenzyj. Godzi się najpierw zaznaczyć, że przy omawianiu poszczególnych prac Kridl sięga niejednokrotnie do samego sedna ich wywodów, poddaje przesłanki rzeczowej kontroli, rozwija je lub uzupełnia, rzucając hojnie szereg bystrych, samodzielnych i sumiennych spostrzeżeń o twórczości Krasińskiego, Słowackiego, a szczególnie Mickiewicza. Są to spostrzeżenia, których żaden badacz, zabierający głos w odpowiedniej kwestji, pomijać nie może. Inną wartość tej książki stanowi jednolitość teoretycznych poglądów i zadań autora, nie dającego się zbić z tropu pomimo traktowania prac tak różnych i kwestyj tak różnorodnych. Znać w tem rzetelną pracę myśli, zatroskaną o pewność samych podwalin swej umiejętności, badającej sprawność jej narzędzi i oceniającej widoki jej uprawy.

Dzięki tym właściwościom książka wkracza niejednokrotnie w dziedzinę, rzadko u nas odwiedzaną, bo w dziedzinę teorii literackiego poznania. Tym zagadnieniom wyłącznie poświęcona jest rozprawa naczelną p. t. *Historja literatury a krytyka literacka.* Ze względu na wyczerpujące przedstawienie zagadnienia, na bogactwo poruszonych problemów i dążność do osiągnięcia pewnych wskazań metodycznych, stanowi ona obok studjów T. Grabowskiego, Kleinera i Z. Łempickiego jedną z ważnych pozycyj w szeregu rozważań teore-

tycznych, poświęconych u nas podstawowym zagadnieniom literackiej historii i krytyki. Już to samo skłania nas do bliższego jej omówienia i krytyki bardziej wyczerpującej, niż reszta szkiców, zawartych w książce, a przeważnie ilustrujących tezę zasadniczą autora.

Rozważania swe ujmuje autor w 4 rozdziały, z których pierwszy omawia poglądy zarówno naszych jak i obcych badaczy na problem różnicy lub wzajemnego stosunku historii do krytyki. Z przeglądu tych zapatrywań wynika, że wszyscy prawie uważają historję literatury za coś innego niż krytyka, choć nie są w stanie różnicy tej ściśle przeprowadzić. Rozdział następny (str. 20—36) stara się te rozbieżne poglądy sprowadzić do wspólnego mianownika i wydobyć to, co wedle ogólnego a (zdaniem autora) mylnego przekonania ma wyróżniać historję od krytyki. Wedle tych mniemań różnica dotyczy zarówno przedmiotu, jak metody. Historia literatury zajmuje się epoką ubiegłą, krytyka teraźniejszością literacką; pierwsza jest lub chce być nauką, druga takich pretensyj nie posiada, chce „uchodzić za zbliżoną do sztuki“, w pierwszej przeważa obiektywizm naukowy, w drugiej elementy wzruszeniowo-wrażeńiowe, bardzo często uważa ona dzieło jedynie za „sposobność do rozsnuwania własnych poglądów, zapatrywań, przeżyć lub też do przeciwstawiania się autorowi“. Dla historyka każdy temat jest równie zajmujący, niema dlań rzeczy nudnych, z równą sumiennością i dokładnością bada zjawiska wybitne i pospolite, epokowe i przelotne, wartościowe i wartości pozbawione. Krytyk literacki natomiast posiada swobodę wyboru, może „tylko wybranym poświęcać czas i pracę, inne skazując na zapomnienie, bez troski o to, jaka jest ich rola w ogólnym dorobku duchowym“. O ile w historii „przeważa system badań rozbioreczy, analityczny, indukcyjny“, o tyle krytyka literacka posługuje się chętniej uogólnieniami, syntezą, często nawet metodą dedukcyjną, t. j. stawianiem pewnej tezy, której potwierdzenia szuka się w szeregu zjawisk literackich. Te poglądy przedstawia autor rozmyślnie z całym szeregiem niedomówień i sprzeczności, wątpliwości i zastrzeżeń, a więc w tej chwiejnej, logicznie niesprecyzowanej postaci, w jakiej one występują w życiu, ponieważ to właśnie służy mu za dowód, że „sam podział (na historję i krytykę) chroma, może jest zgoła sztuczny i naciągany“ (str. 37).

Rozdział trzeci poświęcony jest przeto krytyce tych poglądów. „Zasadniczej, logicznej różnicy pomiędzy przeszłością a teraźniejszością“ Kridl nie uznaje. Panta rej; każda chwila, która nam się teraźniejszością wydaje, już minęła i należy do przeszłości. „Krytyk literacki ulega iluzji, gdy sądzi, że zajmując się autorem sobie współczesnym, czyni coś zasadniczo, logicznie innego, niż historyk literatury, który bada dokument z wieku XIV czy XVI“ (str. 39). Krytyk, tak samo

jak historyk, bada „pewien kształt przeszłości, pewną formę historii. Najświeższy utwór jest już pewnym faktem historycznym“ (str. 40). Z drugiej strony nie można nawet odległej przeszłości uważać za coś stałego i skryształizowanego. „Nie jest ona czemś stałym, danem nam z góry, zastanem przez nas i niezmiennem“ (str. 40). Stwarzamy ją ciągle od nowa, zmienia się ustawicznie nasz pogląd na nią i nasz do niej stosunek. Historyk łądzi się, wyobrażając sobie, że traktuje zjawiska zamknięte i skończone. Przeszłość lub terażniejszość nie może przeto stanowić różnicy między historją a krytyką. Tak samo nie stanowi jej przymiot naukowości. „Obowiązek sumienności, ścisłości, możliwego (w granicach dostępnych) obiektywizmu, kontrolowania i sprawdzania swoich wrażeń i przeżyć, uzasadniania i motywowania sądów i ocen, ciąży tak samo na krytyku literackim, jak i na każdym pisarzu odpowiedzialnym i szanującym się. Sztuką krytyka literacka nie jest i być nie może, bo cele, zadania, środki i materiał twórczy sztuki są zupełnie inne“ (str. 48). Aparatem pomocniczym, filologją, tak samo może (a często musi) posługiwać się krytyk, jak i historyk. Przewaga pierwiastków emocjonalnych czy poznawczych zależy nie od uprawianego rodzaju, ale od osobowości tego, kto o literaturze pisze. Przygotowanie naukowe jest w równej mierze niezbędne dla krytyka, jak dla historyka, a formy opracowania (monografia, szkic) są wspólne obu kierunkom. Rodzajowej zatem różnicy między historją a krytyką niema; właściwości i zainteresowania osobiste badaczy sprawiły, że jednych nazywamy historykami, drugich krytykami. Ażeby uwydatnić to pomieszanie pojęć, przeciwstawia „typowego badacza naukowego, jakim był Matuszewski“, typowemu impresjonście Tarnowskiemu, a zestawia jako umysłowości rzekomo pokrewne Chlebowskiego z Brzozowskiem.

Rozdział czwarty wyprowadza wnioski z powyższych rozważań i stawia tezę: „niema historii literatury ani krytyki literackiej jako dziedzin zupełnie odrębnych, operujących innymi metodami i mających odmienne zadania. Jest tylko jedna i jedyna krytyka (podkreślenie autora), jako odrębna od innych nauk dziedzina badania, którego przedmiotem są teksty literackie i wszystkie z temi tekstami związane problematy i zagadnienia, poczynszy od objaśnień językowych, skończywszy na syntezie historyczno-psychologicznej“ (str. 65). Z punktu widzenia tej jedynej krytyki każdy tekst musi być jednakowo badany przy pomocy dostępnego aparatu naukowego, musi być najpierw zrozumiany, by mógł być poddany ocenie i sklasyfikowany jako zjawisko literackie. Wszelka ocena czy klasyfikacja musi się opierać na sądach umotywowanych i ogólnie obowiązujących przesłankach. Co tym warunkom nie odpowiada, może należeć do literatury, sztuki, publicystyki czy filozofji, ale krytyką nie jest i „na to miano nie zasługuje“.

Autor rozumie, że jego stanowisko jest raczej programem na przyszłość i jakby zarysem pewnego ideału, aniżeli określeniem istniejącego stanu rzeczy, którego nie uznaje za zadowalający. Przyznaje, że dzisiaj między historią literatury a krytyką utworzyła się pewnego rodzaju przepaść, z tego jednak, że tak jest, nie wynika bynajmniej, że tak być powinno. Powodom tego rozłamu poświęcone są końcowe stroniczki rozprawy.

Tak przedstawia się w głównych zarysach tok rozumowania i dowodzeń autora. Zanim przejdziemy do krytyki twierdzeń zasadniczych, nie od rzeczy będzie sprostować lub porozumieć się z autorem w pewnych kwestjach ubocznych, stanowiących przesłankę rozumowania głównego.

Przedstawienie panujących u nas poglądów na różnicę między historią a krytyką literacką nie wydaje mi się wyczerpujące. Z wypowiedzeń lub co ważniejsze, z praktyki naszych pisarzy, zajmujących się literaturą, można zestawzić poważny szereg opinii, uważających podobnie jak autor, że historia i krytyka winny być tem samem. Przyznaję się, że mój odmienny pogląd w tej sprawie kształtował się właśnie drogą przeciwności do zapatrywań naszej krytyki, w której wynurzeniach, skierowanych pod adresem historyków, zdawało mi się słyszeć zawsze piosenkę na nutę ś. p. ojca Wirginjusza: „hejże dzieci, hejże ha, róbcie wszystkie tak jak ja“. Takim postulatowym „unitarystą“ był przecie Feldmann zarówno we „Współczesnej krytyce“, jak i w osławionym pamflecie „Pomniejszychyciele olbrzymów“. Żywi tam stałe pretensje do historyków, że nie są krytykami. Dziwić więc musi wciągnięcie go na listę tych, którzy tę różnicę rzekomo uznają. Że unitarystą, choć z innych przyczyn, był taki uczony historyk jak Chmielowski, tego dowodzą nie tylko „Dzieje krytyki literackiej“, mieszające w czambuł krytykę z badaniem historycznym, ale jeszcze bardziej jego „Metodyka“, w której uważa za historję literatury opracowanie pewnej całości dziejowej, a za „krytykę“ historyczno-literackie monografie o autorach lub dziełach. Zajmuje więc stanowisko bardzo zbliżone do poglądów autora. Podobnym pojęciem „krytyki“ posługują się niejednokrotnie historycy młodszej generacji. Słuszne zdanie T. Grabowskiego, że Brodziński był i historykiem i krytykiem, pobija autor dowcipem Borowego, że widocznie krytykiem jest się wtedy, gdy się pisze rzeczy niemądre. Ten dowcip byłby na miejscu, gdyby można było udowodnić, że „zwalczanie pewnych objawów romantyzmu“ lub niedostrzeżenie „pełności cech narodowych w Mickiewiczu“ było w swoim czasie czynnością istotnie „niemądrą“.

Autor posiada respekt dla filologii, ale raz pojmuje ją zbyt wąsko jako krytykę tekstu (np. str. 49), drugi raz za szeroko jako jednolitą naukę o jakiejś znanej metodzie (str.

63). Wobec tego, że przez filologję rozumiemy różnobarwny konglomerat przedmiotów (teksty, gramatyka, dialektologia, literatura, religja, sztuka, filozofja, poetyka, stylistyka, historia instytucyj, realja i t. d.), trudno jest przy dzisiejszem zróżniczkowaniu nauk wiedzieć, co rozumieć przez metodę filologiczną. Jedne bowiem z tych nauk (językoznawstwo np.) stały się ściślejszemi od niejednej nauki t. zw. „ściślej“ (od nauk biologicznych np.), a inne, jak poetyka, stylistyka, historia instytucyj i t. d. do dnia dzisiejszego „ściskać się“ nie zdołały. Trudno również zgodzić się z autorem, że „tekst“ jest przedmiotem literackiego badania; w konsekwencji bowiem wiedzie to do owej bezdusznej ciasnoty pseudofilologicznej czy pseudokrytycznej, o której tak przekonywująco autor mówi w pewnem miejscu. Przyjęte już jest dzisiaj, że badamy „utwór“ lub „dzieło“ przy pomocy dobrze zredagowanego tekstu, a nie sam „tekst“ literacki.

Jakkolwiek godzę się z autorem, że na kategorjach „współczesność“ lub „przeszłość“ nie można opierać podziału na historję i krytykę, to jednak trudno nie widzieć, że argumentacja, która ma obalić taki podział czasu, jest bardzo ułomna i sama nie wytrzymuje krytyki. Autor na sposób szkoły eleackiej rozbija czas na atomy („są tylko momenty i chwile“), konstatuje brak widocznych różnic między niemi i dokonawszy tej atomizacji, zaskakuje nas pytaniem: „gdzie jest zasadnicza, logiczna różnica pomiędzy przeszłością a terażniejszością?“ Podobną argumentacją wojował już u nas Mochnacki <sup>1)</sup> i niczego się nie dowojował, bo jest to jedynie wybieg dialektyczny, a nie dowód rzeczowy. Oczywiście, jeżeli rozbijemy czas (ściślej mówiąc: zjawiska dziejące się w czasie) na „momenty i chwile“, różnice między niemi staną się niedostrzegalne. Jeżeli obserwujemy natężenie światła w poszczególnych sekundach między porą południową a północną, jest niepodobniestwem oznaczyć, w której z nich kończy się dzień, a zaczyna noc. Kto jednak zechce nam z tego powodu udowodnić, że niema różnicy między dniem a nocą, że to jedno i to samo, tego przywołamy do opamiętania lub odmówimy mu wręcz prawa głosu w sprawie, do której sądenia brak mu widocznie podstawowego warunku, t. j. zmysłu wzroku. Nieostrzegalne są różnice między poszczególnymi chwilami, ale dostrzegalne i bardzo wyraźne są między ich zbiorami, okresami. A umysłowość ludzka posługuje się w ujmowaniu swej rzeczywistości nie atomowemi momentami lecz ich zbiorami, bo inaczej zagubiłaby się w astronomicznych cyfrach momentów; dąży do ułatwiania sobie zadań poznawczych, a nie do ich utrudniania, do prostoty, a nie do wikłania. Myśląc nawet o naszej jednostkowej przeszłości, operujemy zaw-

<sup>1)</sup> W artykule „Czas terażniejszy“ i w „Literaturze polskiej XIX w.“

sze pewnymi całościami, a nie rozprószonem mrowiem momentów. O ile to jest niezbędne dla myślowego opanowania naszego indywidualnego doświadczenia, tem bardziej jest konieczne dla uzyskania przejrzystego poglądu na doświadczenie zbiorowe.

Nie można żądać od badanej przez nas rzeczywistości, żeby ona wskazywała, „gdzie jest zasadnicza, logiczna różnica pomiędzy przeszłością a terażniejszością“, bo zasadniczość lub logiczność to są wymagalniki naszego poznania, a nie atrybuty rzeczywistości. Jest rzeczą badacza, jaką zasadę podziału on przyjmuje i logika jest w porządku, jeśli na podstawie przyjętej zasady potrafi wyłączyć zespół cech, które wyróżniają nam zbiór, zwany „teraźniejszością“, od zbioru, zwanego najbliższą „przeszłością“ lub okresem ostatnim. Wobec tego, że nasza dziedzina badania zajmuje się jakościami, a nie ilościami, kwestja „ściślej“ granicy między okresem A, a następującym okresem B posiada znaczenie zupełnie podrzędne. Zwyczajnie naznaczamy ją sposobem umownym (konwencjonalnym) w stadium przejściowym, przyjmując za kamień graniczny doniosłe zdarzenie literackie lub dziejowe.

Korzystając z językowej przenośni, autor określa mianem „historji“ zarówno naukę historyczną, jak i jej przedmiot. Językowo jest to w porządku, ale ta dwuznaczność wyrazu staje się w toku rozumowania (str. 38—43) powodem bardzo przykrych omyłki logicznej. Ażeby uniknąć możliwych niejasności, porozumiemy się może odrazu z autorem i historjā będziemy nazywali jedynie naukę, przedmiot zaś tej nauki, ową postać minionej rzeczywistości, którą historja poznaje i bada, nazwiemy dziejami. Słusznem więc jest zapatrywanie autora, że zmienną jest historja, a więc ludzka znajomość przeszłości, jej poznanie, ocena, poglądy na nią, a nawet uczuciowy do niej stosunek, ale wręcz niezrozumiałe jest twierdzenie, przypisujące tę samą zmienność dziejom minionym, twierdzenie, że przeszłość „nie jest czemś stałym, danem nam z góry, zastanem przez nas i niezmiennem“, że „istnieje ona w nas i zależy od nas. Każde pokolenie i każdy człowiek musi ją na nowo stwarzać“ (str. 40). Jakże to? Więc my możemy stworzyć dzisiaj dla polskiego średniowiecza jakiś polski odpowiednik „Boskiej komedji“ lub „Pieśni o Rolandzie“, której nie stworzyło ono samo? Czyż to „zależy od nas“, by zlikwidować sprawę Krzyżaków w XVI wieku inaczej, niż to uczynił Zygmunt I, prowadzić kampanję 1831 inaczej, niż Skrzynecki, lub odwołać powstanie 63 roku? Przecie to absurd. Dzieje późniejsze zależą od wcześniejszych, ale nigdy odwrotnie. Każde nowe pokolenie może zapobiegać następstwom faktów minionych, może stwarzać nowe fakty, a więc swoje dzieje, ale w przeszłości nic już zmienić nie może. Klamka zapadła. Twierdzenie zatem autora, że w prze-

szłości „wszystko jest płynne, ruchliwe, zmienne“ (str. 40) lub że historyk literatury ulega fikcji, jeżeli wyobraża sobie, że „obraca się wśród zjawisk zamkniętych i skończonych“ (str. 42) — pozostaje w otwartej wojnie z oczywistością i krytyki nie wytrzymuje.

Należyte rozważenie istoty historycznego przedmiotu byłoby ustrzegło autora od stawiania G. Lansonowi zarzutu, którego trudno nie uznać za gołosłowny i lekkomyślny. Chodzi o różnicę między przedmiotem „historji literatury“ a historji w sensie ścisłym: Historyk bada dzieje (polityczne, społeczne, gospodarcze i t. p.), ale bezpośrednio z nimi i z ich faktami się nie styka; musi je mozolnie rekonstruować (stwarzać sobie obraz idealny) przy pomocy źródeł i dokumentów, poddawać te źródła umiejętnej krytyce, ustalać na ich podstawie prawdopodobieństwo faktów dziejowych i dopiero na podstawie tak ustalonych faktów stwarza to, co nazywamy syntezą historyczną. Historyk literatury pracuje w warunkach bez porównania łatwiejszych, styka się bowiem, podobnie jak przyrodnik, bezpośrednio z badanym przedmiotem. Ta okoliczność, że może wziąć do ręki i poznać samą „Skargę umierającego“, „Odprawę posłów“ lub „Kordjana“, a więc konkretne fakty dziejowo-literackie, stawia go w tak dogodne warunki badania, w jakich historyk mógłby się znaleźć jedynie wtedy, kiedyby jakaś wells'owska „machina czasu“ zawiozła go np. w czasy Kościuszki lub Bolesława Chrobrego i pozwoliła mu obserwować osobiście fakty dziejowe przeszłości ówczesnej. Jeśli przeto jakiś Anglik wyraził problematyczny pogląd, że historia nie jest nauką, bo fakty jej nie mogą się powtarzać i podlegać ponawianej obserwacji (doświadczeniu), to w myśl nawet tej absurdalnej zasady należałoby uważać historję literatury za naukę równie „ściśłą“ jak fizyka, albowiem badane przez nią fakty, t. j. dzieła literackie mogą być tyle razy powtórzone i poddane doświadczeniu, ile razy zechcemy je czytać.

Historja więc poznaje jedynie pośrednio przez dokumenty i źródła, historia literatury natomiast poznaje wprost, albowiem może poznawać same fakty (dzieła). Takie zaś dzieła, o których istnieniu możemy się dowiadywać, podobnie jak historycy, jedynie z dokumentów lub źródeł (literatura zaginiona, niezapisane improwizacje lub sztuki teatralne), nie mogą stanowić dla nas podstawy rzeczowego badania. Jest to kategoria „rzeczy ciekawych“ a nie przedmiot naszej umiejętności. Rozróżnienie Lansona między temi dwiema umiejętnościami jest przeto zupełnie poprawne i bez zarzutu. Nieściśłym jest tutaj nie Lanson, ale Kridl, który zarzuca mu, że „takie rozróżnienie pomiędzy dokumentami historycznemi a literackimi jest nieściśle“. Albowiem dzieło nie jest dla nas dokumentem, wiodącym do poznania faktu lecz faktem sa-



mym, czynem literackim, członem literackiej rzeczywistości dziejowej. Uważać dzieło za „dokument“ wolno tylko temu, dla kogo literatura (jak dla Mochnackiego np.) nie jest celem poznania, ale jednym z środków, wiodących do poznania czegoś poza literackiego, np. samowiedzy narodu, jego kultury, jego poziomu umysłowego, charakteru narodowego, właściwości etnicznych lub szczepowych i t. p. Przyjęte u nas w dobie pozytywizmu pojmowanie literatury jako zbioru dokumentów (historycznych) jest wątpliwej wartości spadkiem po tym okresie naszej umiejętności, w którym ona, ucząc się dopiero rączkować, usiłowała zbyt niewolniczo wzorować się na metodach swej mistrzyni t. j. historii.

Przechodząc do tezy zasadniczej, możnaby wywodom autora postawić zarzut ogólny, dotyczący przedewszystkiem samej metody dowodzenia. W zagadnieniu, które pragnie rozwiązać, nie tyle chodzi o poglądy, ile o normę lub ideał pewnego postępowania. Nie o to rzecz idzie, czy ludzie trafnie odróżniają historję literatury od krytyki, ale o to, czy historycy i krytycy robią dobrze, że postępują inaczej w swej pracy. Problem dotyczy działalności umysłowej człowieka, nie jego poglądów. Chcąc jakąkolwiek działalność osądzić, zbadać jej sprawność, celowość, wydatność, określić jej rodzaj i t. d., niepodobna tego zrobić inaczej, jak przez zbadanie samej istoty jej funkcji, t. j. przez poznanie przyczyn (potrzeb), które ją wywołują, i celów, które ona sobie stawia. Jeżeli się okaże, że dwie działalności, funkcjonujące odmiennie, pochodzą z jednakich potrzeb, mają ten sam cel na oku, odbywają się w jednakich warunkach i mogą ten wspólny cel osiągnąć jednakiemi środkami, wtedy oczywiście będziemy przekonani o potrzebie ich jednakowości. Metodycznie problem wymaga więc wyjścia od podstaw: trzeba zbadać (zanalizować) istotę tych czynności, które nazywamy historją literatury i krytyką, a stąd dopiero drapać się w górę, do uogólnienia i teorii. Autor postąpił odwrotnie; zamiast poddać analizie funkcje, bada prawdziwość teoryj i zapatrywań, które o tych działalnościach wygłoszono. Zagadnienie zostało przez to zepchnięte w tę płaszczyznę, w której go ani rozwiązać można ani rozwiązywać nie należy. Mogę najpoprawniej w świecie udowodnić, że poglądy na różnicę dwu czynności są pozbawione racji, ale przez to zgola nie dowiodłem, czy różnica między temi czynnościami pozbawiona jest racji.

Przyjmijmy za punkt wyjścia twierdzenie, idące jak najdalej po myśli autora, twierdzenie, że współczesność lub przeszłość nie może stanowić kryterjum podziału na historję i krytykę. Jest to bez wątpienia słuszne. Krytycy zajmują się równie dobrze twórczością współczesną, jak autorami z przed kilku wieków. Klaczko pisał o Korzeniowskim, Mickiewiczu i Kraśńskim, ale również o Dantem i Petrarce; Matuszewski o Ze-

romskim, Wypiańskim i innych współczesnych, ale również o Byronie, Cervantesie i Słowackim. Cóż się jednak z bliższego rozważenia takich faktów okaże? Oto każdy z nas zna lub jest w stanie wyobrazić sobie krytyka, który zajmuje się twórczością współczesną, a nadto tymi z wielkich pisarzy przeszłości, którzy go pociągają, ale nikt z nas ani w naszej ani w obcej literaturze nie zna takiego krytyka (nie będącego pozatem historykiem), któryby się zapalił np. do Seklucjana, Żabczyca, Minasowicza, Odyńca, Korsaka lub któregokolwiek innego, małej wartości pisarza, który mu estetycznego zadowolenia nie daje, który jest dlań nudny, martwy, „nieinteresujący“. Ta różnica, dotycząca pozornie sprawy tak nieuchwytniej jak sfera zainteresowań indywidualnych, odsłania nam w istocie odrębne motywy, dwie zasadniczo różne potrzeby duchowe, którym służą obie czynności. Krytyka interesująca w przeszłości tylko wielkie i wybitne indywidualności pisarskie („wielcy panowie ducha“ jak powiedział Porębowicz), ponieważ chce estetycznie używać, historyka interesować będą wielcy i mali, ponieważ przedewszystkiem chce poznać. Używać a poznawać to jednak gruba różnica!

Literatura jako przedmiot bezinteresownego intelektualnego poznania a wyjątkowe dzieła lub wyjątkowi pisarze jako przedmiot interesowanego estetycznego użycia, jako skarbnica wartości duchowych, które nie wystarcza cenić i odczuwać, ale trzeba uczynić własnością kulturalnej zbiorowości, przedmiotem estetycznego spożycia, wprowadzić je i zapewnić im trwałe życie w duszy tych, których sprawy poznawcze (naukowe) zgoła nie interesują — oto dwa różne, a zupełnie uprawnione stanowiska, które z powodu odmiennych potrzeb i celów muszą szukać realizacji na drogach odmiennych. Pierwsze z racji swych celów poznawczych, musi dążyć do doskonalenia swych pojęć podstawowych, środków badania i metody, musi coraz bardziej krystalizować się jako umiejętność; drugie z impulsu do uzewnętrznienia siebie, ponieważ chce być wrazem własnego estetycznego użycia i przeżycia, a następnie z racji swych celów społecznych, ponieważ chce oddziaływać i zdobywać innych dla tego, co uważa za wartościowe, musi coraz bardziej doskonalić technikę swej — sztuki.

Tak jest — sztuki. Bo zapatrywanie autora, że „cele, zadania, środki i materiały twórczy sztuki są zupełnie inne“ (str. 48) — narazie niczem nie zostało poparte. Jeśli sztuki potrzeba na to, by poddać innym wytwór wyobraźni własnej, dlaczego nie może być sztuką poddawanie innym wytworu wyobraźni obcej? Zwłaszcza, jeżeli ci „inni“ nie są w stanie tak, bez pomocy, z wytworu wyobraźni skorzystać i „wprowadzenia“ potrzebują? Krytyka jest wprawdzie inną sztuką, niż epika, liryka, dramat lub reszta „sztuk wyzwolonych“, ale jest tak samo sztuką, skrepowaną zadaniem (tematem) i życiowo-prak-

tycznymi celami, jak wymowa, architektura lub zdobnictwo. Jest stosowaną sztuką literacką podobnie jak wymowa i nic to z jej charakteru artystycznego nie ujmuje, że dobry krytyk musi w swej twórczości opierać się na zdobyczach naukowych (które niekoniecznie musi sam zdobywać), podobnie jak dobry architekt na wiedzy technicznej, dobry mówca sądowy na znajomości prawa, dobry kaznodzieja na teologii i t. d. Pomimo tych podstaw „objektywnych“ żądamy od niej tak samo, jak od każdej sztuki, by była wyrazem indywidualności pisarskiej i by sprawiała nam estetyczne zadowolenie, by na nas działała. Stawiać te same wymagania badaniu naukowemu lub urągać zeń, że ich nie osiąga, jest absurdem lub złą wolą, na którą pozwalać sobie może nasza krytyka jedynie dlatego, że sama nad swą działalnością się nie zastanawia i powołania swego nie pogłębia.

Uznając, że umiejętność literacka (bo naukowe badanie literatury nie ogranicza się przecie do samej tylko „historji“), a krytyka literacka to rzeczy nie tylko różne i w różnicach swych uprawnione, ale dające się również doskonale teoretycznie wyodrębnić, nie chcemy przez to twierdzić, że te dwie czynności, mimo odrębności celów i potrzeb, nie mają z sobą nic wspólnego. Owszem taki teren wspólności między niemi istnieje, on to był przyczyną ustawicznego mieszania pojęć historji i krytyki literackiej, on pozwolił Kridlowi postawić tezę, że istnieje tylko jedna jedyna krytyka literacka. Tym zakresem wspólnym jest sprawa rozumienia dzieła, identyfikowania niesłusznie ze sprawą „poznania“ lub „badania naukowego“. Rozumieć to nie znaczy jeszcze „poznać“, a inteligentnie i wnikliwie czytać to wcale nie znaczy „badać“. „Pana Tadeusza“ mogę doskonale zrozumieć, wniknąć w intencje twórcze poety, w całej pełni dziełem się rozkoszować, wartość literacką najtrafniej oceniać i wypowiadać w tym względzie najsłuszniejsze, na dokładnej lekturze oparte sądy, a mimo to mogę nie być w stanie sformułować choćby jednego, poznawczo zadowalającego, „objektywnego“ sądu o literackich znamionach i formach dzieła, o jego wersyfikacji, stylu, kompozycji, budowie, środkach ekspresji i t. d. Najlepsze zrozumienie, najtrafniejsza ocena, wszelkie „głębokie spojrzenia“, „szerokości horyzontów“ i inne tym podobne, u krytyków słusznie wielbione dary boże nic mi tu nie pomogą. Nawet jeśli je posiadam, muszę złożyć pychę z serca, przysiąc fałdów i rozpocząć drobiazgowy, mozolny badanie poznawczy, by coś konkretnego w tej sprawie móc powiedzieć. Cóż dopiero mówić, gdy zbadane zjawisko mam ująć „historycznie“, w stosunku do analogicznych zjawisk poprzednich lub następnych, które trzeba badać z jednaką drobiazgowością i precyzją, choć estetycznie mogą się one przedstawiać zgoła nieponętnie.

Zdajemy sobie sprawę, że z chwilą, kiedy się wyłania sprawa samego poznania, rozpoczyna się teren obcy zarówno krytyce jak i umysłom, nastawionym jedynie do estetycznego używania, a poznawczo niezainteresowanym. Interesować ich będą co najwyżej wyniki poznania, a nie badanie samo i jego problemy. Krytyk, który prowadzi badanie w celach poznawczych, przestaje tem samem być krytykiem a staje się badaczem, choćby rękami i nogami przed tą nazwą się bronił.

Jakkolwiek należyte zrozumienie dzieła literackiego nie jest jeszcze jego poznaniem, a już zgoła nie może być poznaniem stosunków i związków w obranym zbiorze dzieł czyli poznaniem historyczno-literackim, to jednak jest ono koniecznym tego poznania warunkiem. Bez niego niemożliwy jest uporządkowany, prawdziwy (odpowiadający rzeczywistości) pogląd na dzieje literackie, bez niego wszelkie poszukiwanie zamienia się w szperanie pustą, jałową, często bezmyślną. Jest to bodaj jedyna, istotna cecha, wyróżniająca każdą naukę humanistyczną od nauk przyrodniczych, że tu poznać nie wystarcza, trzeba badane zjawiska lub fakty jeszcze rozumieć, a co za tem idzie, umieć ocenić ich wartość lub ważność indywidualną. Dlatego właśnie, że są to sprawy, których się nauczyć niepodobna, trzeba je umieć, proponuję, żeby tę kategorię nauk zgodnie z duchem naszego języka nie nazywać naukami lecz umiejętnościami. Zostawmy wielbicielom „liczby, miary i wagi“ szczytne zawołanie nauki wraz z tą zgryzotą, że istotnie „ściśła“ jest dopiero ta nauka, która sama stwarza swój przedmiot, a więc jest nauką i tworzeniem równocześnie, t. j. matematyka.

O ile zrozumienie jest ważne dla umiejętności, tem większą musi ono posiadać wagę dla krytyki, bo z nierozumieniem dzieła ustaje całkowicie lub w części proces estetycznego użycia i możliwość wartościowania. Krytyk, który nie rozumie lub, co gorsze, źle rozumie, albo też najgorsze, udaje, że rozumie i podziwia, mija się całkowicie ze swem powołaniem i nie czyni zadość kardynalnemu swemu obowiązkowi, obowiązkowi tłumacza, pośrednika i przewodnika w dziedzinie wartości i piękna. Wszystko, co w granicach ludzkiej możliwości leży, winien uczynić, by należyte zrozumienie dzieła zdobyć i umożliwić je innym; niema takich środków, wiadomości, źródeł informacyjnych lub sposobów wykładu, któreby bez szkody mógł zlekceważyć. Pomocną może się mu okazać nie tylko gramatyka, historia czy psychologia, ale znajomość wszystkiego, o czem tylko studjowany autor może pisać; granic niema. Ta konieczność posługiwania się doświadczeniem w najrozmaitszych dziedzin życia i wynikami najrozmaitszych nauk odbiera temu (bez wątpienia potrzebnemu) studjum charakter nauki czy umiejętności i wyklucza możliwość jakiegokolwiek metody. *Scientia de omni re scibili* nie jest już dla nas dzisiaj nauką. Jest to

„ćwiczenie“ umysłowe, może nawet „wiedza“, ale nauką ani umiejętnością w sensie powszechnie przyjętym tego studjum przygotowawczego i pomocniczego nazwać niepodobna.

Chociaż można mieć poważne wątpliwości, czy to zawsze jest dobrze dążyć do zrozumienia przez wyłącznie intelektualne informacje, „przy pomocy całego kompleksu wszystkich możliwych i dostępnych środków i narzędzi metodycznych, dostosowanych do odrębnych cech i właściwości tekstu“ (str. 66)<sup>1)</sup>, to jednak wątpliwości nie ulega, że w tym wąskim zakresie badacz naukowy i krytyk się schodzą. Istota ich funkcyj jest jednakowa, obaj bowiem mają ten sam cel przed oczyma: zrozumieć. W tym względzie zadania i obowiązki zarówno krytyki jak i umiejętności literackiej pokrywają się w zupełności i na wszystko niemal, co Kridl o jednakowości tych obowiązków mówi, można się pisać prawie bez zastrzeżeń. Dotąd sięga wspólność; dotąd, nie dalej. Ale jeszcze raz, zrozumienie (używanie, wartościowanie) nie jest dla umiejętności celem ostatecznym lecz dopiero punktem wyjścia, a praca, zmierzająca do zrozumienia, choćby nawet „najsumienniejsza“ i naszpikowana milionem cytatów lub zapożyczeń z miliona naj-mądrzejszych książek, nie jest umiejętnością, bo nie jest w stanie określić swego przedmiotu.

W żądaniach, stawianych krytyce, można pójść dalej od Kridla i powiedzieć, że doskonałe zrozumienie dzieła jest w wyższej mierze zadaniem i kompetencją krytyki, niż umiejętności. Czemże bowiem jest rozumienie, jeśli nie zdolnością reagowania na dzieło temi samymi kompleksami przedstawień, które „uformował“ twórca? Czułość (podatność), sprawność i wydatność tej czynności jest całkowicie zależna od zdolności wyobraźni odbiorczej. Romantyczny przesąd, jakoby „serce“ czy „uczucie“ dawało nam zaklęte klucze od tajemniczych podwoi, zamkniętych rozsądkowi i sercom „zimnym“, można spokojnie złożyć do aktów. Skrajni uczuciowcy bez wyobraźni będą tylko idealnymi mazgajami lub rozwichrzeńcami, niepokojącymi daremnie siebie i innych. Nie dlatego rozumiemy i zachwycamy się poezją, że jesteśmy zdolni do silnych wzruszeń, ale dlatego silnie się wzruszamy, że sobie ją żywo przedstawiamy.

Z dwu jednostek o jednakiem przygotowaniu umysłowym i jednakiej sumienności, lepszą gwarancję zrozumienia daje nam ta, która jest lepiej wyposażona pod względem wyobraźni, bo bliższa jest najistotniejszego organu twórczości, łatwiej i bystrzej zorientuje się w prawach, rządzących tym światem

---

<sup>1)</sup> Sądzę, że jest to konieczne tam, gdzie nas zawodzi nasza wyobraźnia (intuicja), tak jak do gramatyki uciekamy się wtedy, gdy nas zawodzi poczucie językowe, do logiki, gdy tracimy zaufanie w poprawność operacji logicznej.

odrębnym, wnuknie głębiej w pobudki i aspiracje wyobraźni twórczej, trafniej oceni wartość dzieła, bo je intenzywniej przeżywa. W każdym wybitnym krytyku jest coś z utajonego poety, a poeci, jeśli chcą, bywają doskonałymi krytykami. Wybitni krytycy ostatniej doby, Art. Górski, Ant. Potocki, St. Brzozowski, K. Irzykowski, Ad. Grzymała-Siedlecki — to pisarze o niewątpliwych i ujawnionych zdolnościach twórczych. Jeśli przeto Kridl widzi dowolność w tem, że ludzie „o pewnych specyficznych cechach i zainteresowaniach“ otrzymali nazwę krytyków, a inni o innych cechach i skłonnościach nazwę historyków, to nam się to zgoła nie wydaje dowolnością, lecz mądrym i celowym rozkładem funkcji na zasadzie naturalnego doboru. Ludzie o tej właściwości, o której wyżej wspomniałem, rozumieją łatwiej i sprawniej, wskutek tego nadają się lepiej do tego, by pośredniczyć między twórcami a czytelnikami, którzy nie mają zamiaru literatury „badać“ (poznawać), lecz chcą w niej używać, chcą wiedzieć, co utwór jest wart i jak go należy rozumieć.

Ta rola umysłowej pośredniczki w konsumpcji literackiej musi się wyrażać także w odmiennym stosunku do przedmiotu. Historia literatury, o ile chce pozostać umiejętnością, musi przyjmować swój przedmiot (literaturę) takim, jakim on jest. Zmieniać, przekształcać lub wpływać na jego przeobrażenie nie może i nie ma do tego prawa. Krytyka natomiast, stojąca pośród zjawisk, które się dopiero dzieją lub stają, jest zainteresowana w takim lub innym ich obrocie. Ma nie tylko prawo, ale i obowiązek manifestować wolę dziejową kulturalnej społeczności, wyrażać jej literackie pragnienia, wpływać i oddziaływać na dążność i kierunek twórczości, głosić nie tylko, jaką literatura jest, ale jaką być powinna. Jest szermierzem wartości, które dopiero mają się narodzić; wolno jej antecypować przyszłość, a nawet rzeczy dokonane traktować nie z punktu widzenia ich stanu faktycznego, t. j. obiektywnie, lecz z wyżyn pożądanego ideału. Jest bowiem organem nie poznania lub nauki, ale organem literackiego życia, odpowiedzialną współtwórczynią literackich dziejów. Jest wobec historii literatury tem, czem polityka wobec historii. Dlatego dziwić może, że autor, który słusznie tak wysoko stawia Brzozowskiego-krytyka, tego właśnie „zasadniczego“, najrdzenniejszego „krytycznego“ stanowiska, nie mającego nic wspólnego z historią literatury i badaniem obiektywnym, u niego nie dostrzega. Powiada, że Brzozowski tak samo, jak Chlebowski, „szukał wszędzie w literaturze objawów siły i piękna, i gdziekolwiek je znalazł, pragnął wprowadzić w tryumfie do świadomości pokolenia współczesnego“ (str. 61). Że „szukał“ to pewne, ale gdzie je znalazł? w kim? w jakim dziele? — skoro nawet wiara Wyspiańskiego jest dłań „wiarą, która nie może żyć, która utraciła rzeczywistość...

Nie szukajcie już u niego żywej prawdy“ („Legenda Młodej Polski“ str. 516).

Doszedłszy w rozważaniach do tego punktu, który ujawnia nam w krytyce czynnik dziejowo-literackiej woli, a tem samem odsłania w niej organ, biorący czynny udział w samym stawianiu się literatury, w jej kierunkach i dążnościach, nie mamy potrzeby podkreślać lub rozwijać dalszych różnic, bo zbyt widoczne jest, że dwie czynności, tak rozbieżnie nastawione, jednakiemi być nie mogą. Czynność, która uczestniczy w stwarzaniu pewnej rzeczywistości, a czynność, która tę rzeczywistość bada, są czynnościami różnemi czyli historia literatury nie jest krytyką a krytyka nie jest historią literatury. W stosunku wzajemnym można je przedstawić jako pola dwóch parabol, zwróconych w przeciwne strony a pokrywających się swojemi wierzchołkami. Polem wspólnoty u wierzchołków jest rozumienie i wszystko to, co doń należy. Świadczy to dobrze o zmyśle metodycznym i logicznej konsekwencji autora, że pomimo utopijnego postulatu „jednej jedynej krytyki“, pomimo ucierania się z poglądami, które problemy myślowe pragnęłyby rozwiązywać — gadaniem, poza owo wspólne pole w istocie nie wyszedł. Poobcinał zbyt apodyktycznie to, co tam wejść nie mogło, niesłuchanie zacieśnił zakres historii literatury i krytyki, ale stanowisko konsekwentnie utrzymał i sprzeczności nie popełnił.

Lwów.

*Eugenjusz Kucharski.*

**Dr. Zygmunt Łempicki**, prof. uniw. warsz.: O krytyce literackiej. Odbitka z „Przeglądu Warszawskiego“ Nr. 34—35. Warszawa, 1924, 8°, str. 23.

Z pracą Z. Łempickiego zapoznałem się dopiero po napisaniu recenzji z książki Kridla. Ponieważ znajduję w niej wiele zgodności z wyrażoną w recenzji myślą podstawową, napełnia mię to, poza satysfakcją osobistą, także mocniejszym przekonaniem, że nie jest tak źle z obiektywnością literackiego sądu i myślenia, skoro pomimo odmiennego punktu wyjścia, odmiennej argumentacji i rozważania odmiennych zjawisk literackich, dochodzi się ostatecznie do wyników tych samych. Albowiem punktem wyjścia dla rozprawy Łempickiego nie była książka Kridla ani też dyskusja tego problemu w Polsce. Wspomina o tem autor, widać to pozatem z całej konstrukcji rozprawy, która jest rozwinięciem „artykułu o krytyce literackiej i jej dziejach, napisanego dla leksykonu historii literatury niemieckiej“ (prawdopodobnie „Handbuch der Literaturwissenschaft“ Walzla). Rozważania, jak to zresztą z tytułu wynika, są poświęcone głównie krytyce, o historię literatury zahaczają tam tylko, gdzie chodzi o rozgraniczenie obu dziedzin.